SYGNAŁ X-5

Rys. M. Kościelniak

O PÓŁNOCY obóz w Rowiszte pogrążony był w głębokim śnie. Tylko wartownicy czuwali otuleni w brezentowe peleryny. Z każdego namiotu dochodził inny dźwięk — chrapanie, mruczenie, stękanie — jakby śpiącym śniły się przeżycia mającego nastąpić dnia. Być może niektórzy opadali już w strojach płetwonurków na dno leniwie płynącej Wełtawy, albo unosili się na spadochronach, by wykonać swe partyzanckie zadanie... Wszystkim na pewno śnił się wielki egzamin, ostatnie sprawdzenie sił w grze bojowej pod hasłem „PARTYZANCKIMI ŚCIEŻKAMI".

Przypomniała mi się przypadkowo wysłuchana rozmowa jednego z drużynowych z województwa południowomorawskiego z jego chłopcami: „Postarajcie się dzisiaj dobrze wypocząć — mówił drużynowy — bo jutro czeka was porządna harówka".

Dalej czytaj na str. 8

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 55 (1629) Warszawa, wtorek, 11 lipca 1967 r. Cena 50 gr

Największa zagadka żmij

ŻMIJE zawsze wywoływały u ludzi uczucie lęku i strachu. Tak było szczególnie w dawnych wiekach, kiedy człowiek nie umiał sobie wyjaśnić wielu zagadek z życia tych gadów W jaki sposób żmije mogą przez długi czas obchodzić się bez wody i jedzenia? Dlaczego każdego roku zrzucają z siebie starą skórę? A sam zewnętrzny wygląd żmij...? Oczy bez powiek, ciągle patrzące, jakby hipnotyzujące... Rozdwojony na końcu język jak widełki, czarny, cienki, wysuwający się nawet z zamkniętej paszczy?...

ciąg dalszy str. 2 i 3

W stolicy Kirgizji — Frunze, znajduje się specjalny instytut doświadczalny węży. Na zdjęciu widzicie moment tuż przed pobraniem jadu do celów leczniczych i naukowych.
Foto CAF

Oczekuje

5 KM KORZENI

● Jak obliczono, korzenie jednej jabłoni mają w sumie około 5 km długości, z czego 4 km „służy do ssania", a jeden kilometr stanowi rodzaj systemu kanalizacyjnego.

KOŁYSKI DLA PSÓW

● Zakłady Wikliniarskie w Chrościcach i Kędzierzynie na Opolszczyźnie są eksporterami kołysek dla psów. W tym roku Anglia zakupi ich pięć tysięcy sztuk. Wiklinowe kolebki produkuje się w sześciu rozmiarach. Mogą one służyć zarówno ratlerkom, jak i bokserom czy owczarkom alzackim.

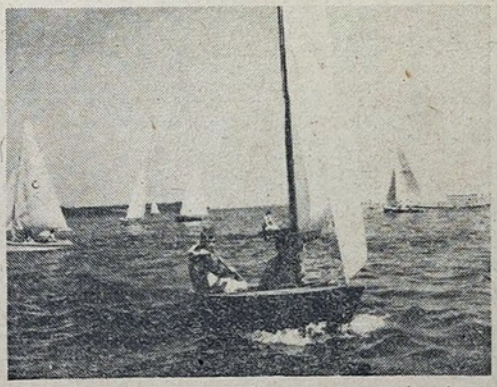

Pierwszy sygnał — przygotowanie do startu! Załoga „Cadeta" spieszy na optyczną linię startu.

REGATY NA ZALEWIE

WIATRY DMUCHAJĄ. Sezon w pełni. Na jeziorach panuje tłok. Żeglarze mogą nareszcie wypróbować na wodzie swoje nawigacyjne umiejętności, zdobyte podczas zimowego szkolenia.

Na naszych zdjęciach widzicie chłopców podczas ósmych żeglarskich mistrzostw szkół warszawskich. Zawody odbywały się na Zalewie Zegrzyńskim. Startowało 28 załóg. Najlepsze były załogi z Technikum Mechanicznego Nr 2, które wygrały wyścigi wszystkich klas, oprócz „Cadeta".

Foto: St. Kojło

SKĄD SIĘ BIORĄ NAZWY STATKÓW

GDY RODZICOM zabraknie pomysłów, wybierają dla noworodka imię z kalendarza, sięgając pod datę narodzin dziecka. Stoczniowcy kierują się innymi zasadami — nazwa statku zależy od jego tonażu, względnie rodzaju morskiej służby.

Największe jednostki, powyżej 15 tys. DWT, budowane w naszych stoczniach, otrzymują nazwy związane z historycznymi wydarzeniami wojennymi, mniejsze (8—15 tys. DWT) — noszą nazwiska mężów stanu, działaczy, pisarzy. Dla „średniaków" (3—8 tys. DWT) zarezerwowane są nazwy miast, jednostki o tonażu 1 — 3 tys. DWT sławią wybitnych marynarzy polskich i pracowników przemysłu stoczniowego, a dla „maluchów" do tysiąca ton nośności stosuje się imiona i nazwiska zaczerpnięte z polskich utworów literackich.

Tankowcom nadaje się z reguły nazwy szczytów górskich, bazom rybackim — nadmorskich dzielnic Polski, rudowęglowce noszą nazwy hut i kopalń, a jednostki szkolne — nazwiska ludzi zasłużonych w kształceniu morskich kadr.

SPIS TYGRYSÓW

W tajdze Kraju Chabarowskiego, na Dalekim Wschodzie Związku Radzieckiego dokonano ostatnio spisu żyjących tu tygrysów ussuryjskich, olbrzymich drapieżników, których długość przekracza dwa metry. Przeprowadzone obserwacje wykazały, że żyje tu na wolności już tylko 45 sztuk tych zwierząt. Ten rodzaj tygrysa nie występuje nigdzie indziej na świecie.

Tygrys ussuryjski pozostaje pod ścisłą kontrolą. Jedynie raz na 2—3 lata odławia się 1—2 sztuki dla cyrków i ogrodów zoologicznych. Sprawdzenie ilości żyjących w tajdze tygrysów nie należało do rzeczy łatwych. Teren, na którym żyją drapieżniki, liczy ponad 5 milionów hektarów. Skontrolowano olbrzymie obszary posługując się samolotami, śmigłowcami, samochodami, najtrudniejsze zaś ostępy leśne przemierzono pieszo.

Przy okazji stwierdzono, że w okolicach, gdzie żyje tygrys, nie widać wcale wilków. Tygrysy ussuryjskie tępią je bezlitośnie. Napadają także na dziki, jelenie, sarny i łosie.

Największa zagadka żmij

Krzywdzące oskarżenie

WIĘKSZOŚĆ LUDZI UWAŻA, że żmija jest bardzo groźna, że wystarczy, aby poczuła człowieka a już natychmiast rzuca się do ataku. W rzeczywistości żmije nie są tak straszne. Napadają głównie na małe zwierzęta — myszy, ptaki, owady. Na widok człowieka zawsze uciekają. Jedynie w przypadku, gdy on sam nadepnie na żmiję, w obronie własnej może ona rzeczywiście ukąsić. Natomiast mają one niemało wrogów wśród zwierząt, a ponieważ są stosunkowo powolne, rzadko ratują się ucieczką, przeciwnie — przyjmują walkę, czasami beznadziejną.

Oto do terrarium, w którym znajdowała się jadowita żmija, wpuszczono jeża. Jeż od razu nasrożył kolce i ruszył do ataku. Żmija starała się przestraszyć go groźnym syczeniem, ale jeż nic sobie z tego nie robił. Zaczęła się walka. Atakujący gad natykał się ciągle na kolącą broń jeża. Dwukrotnie nawet udało się żmii zadać jadowite ciosy, ale widocznie ukąszenia nie były groźne, bo jeż nie przestał atakować. Po krótkiej walce zwyciężył.

Pochwała żmij

ŻMIJE są pożyteczne — niszczą szczury, myszy, szarańcze — przynoszą tym samym gospodarce człowieka dużą korzyść. Stwierdzono, że w miejscach, gdzie łowcy żmij polują na te gady, błyskawicznie rozmnażają się gryzonie.

Ale nie tylko dlatego należy się żmijom pochwała. Otóż śmiertelny ich jad odpowiednio przygotowany jest bezcennym lekarstwem. Leczy reumatyzm, porażenie systemu nerwowego. W Niemieckiej Republice Demokratycznej i w Związku Radzieckim z jadu wyrabia się maść przeciwko ischiasowi. Prowadzi się również badania leczenia jadem trądu.

Ciąg dalszy ze str. 1

Walka ichneumona z jadowitą żmiją. Z góry można przewidzieć, że pojedynek zakończy się zwycięstwem czworonoga. Zwierzę to (długość ciała łącznie z ogonem około 110 cm), zwane także szczurem faraonów, jest najgroźniejszym przeciwnikiem żmij — zamieszkuje Afrykę i Azję.

Różne preparaty jadowe uśmierzają ból. Do tej pory stosuje się w medycynie najczęściej morfinę. Likwiduje ona ból, ale stwarza równocześnie niebezpieczeństwo przyzwyczajenia się do tego lekarstwa. Natomiast jad kobry, jak stwierdzili radzieccy i amerykańscy lekarze — również łagodzi ból nie powodując przy tym nawyków narkomanii.

Już te powyżej wyliczone zasługi żmij wystarczą, aby spojrzeć na nie innymi oczami. W niektórych krajach zakłada się nawet sztuczne hodowle i rezerwaty tych gadów. W Związku Radzieckim np. rezerwat żmij znajduje się w Suchumi na Kaukazie.

Niezwykłe odkrycie

FIODOR TAŁYZIN jest lekarzem i świetnym znawcą życia gadów. Już jako młody chłopak uganiał się po różnych wertepach za żmijami, chwytał je do swojego terrarium i całymi godzinami wpatrywał się w niezwykłą budowę tych zwierząt. Któregoś dnia przyglądając się złapanej żmii zauważył, że pomiędzy oczami a nozdrzami znajdują się wgłębienia, jakby otworki. „Co to może być?" Do czego mogą one służyć? — zastanawiał się Fiedia. Niestety, zagadki nie mógł rozwiązać.

O spostrzeżeniu Tałyzina już wcześniej wiedzieli uczeni. Stwierdzono, że otwory te nie są połączone bezpośrednio ani z uszami, ani z oczami, a więc nie mogą mieć żadnego związku z tymi organami. Wiadomo było tylko, że łączą się z mózgiem.

Pierwsze badania wykazały, że otworki oddzielone są od głębszych partii poprzeczną membraną, która dzieli wgłębienie na dwie komory — zewnętrzną i wewnętrzną. Komora wewnętrzna (patrz rysunek) znajduje się za membraną. Nie jest ona jednak całkowicie zamknięta. Ma ona połączenie ze światem zewnętrznym za pomocą cienkiego, długiego kanału. Kanał wychodzi na zewnątrz ciała żmii mikroskopijnym otworkiem, który może się rozszerzać lub zamykać za pomocą specjalnego mięśnia. Membrana

Głowa żmii: 1 — nozdrza; 2 — termolokator; 3 — oczy.

PRÓBA NA BIWAKU

STAŁA BAZA obozowa Hufca Tarnowskie Góry w Kuźnicy zajmuje kilka hektarów lasu przeciętego wijącą się rzeczką i kilkoma polanami. Jest woda, światło, amfiteatr oraz wybudowany ubiegłego lata Gród Piastowski. 50 dziewcząt i chłopców z drużyny harcerskiej w Bobrownikach Śląskich wybrało się tutaj na kilkudniowy biwak. Zwyczajem innych drużyn dali swój wkład w budowę bazy — uporządkowali teren, naprawili mostek, oczyścili brzeg rzeczki.

Biwak ten stał się sprawdzianem przygotowań całej drużyny i do obozowego lata. Musiały więc poszczególne zastępy wykazać się umiejętnością wybrania najlepszego miejsca pod namiot, prawidłowego rozstawienia go i okopania. Ciekawym punktem biwaku był przegląd przygotowania artystycznego każdego zastępu do obozu. Więc piosenki, monologi, montaże słowno-muzyczne. Największą atrakcją były pokazy gimnastyczne z piramidą przygotowane przez Kazika Mrodego, Andrzeja Feliksa i Magdę Gierę.

STEFAN KOJŁO
Zdjęcie autora

KIEDY SĘDZIA GWIŻDŻE

Chłopcy z kl. VII Szkoły Podstawowej w Rogach, pow. Krosno n/W pytają, „czy zawodnik wykonujący rzut karny, ma prawo dobić piłkę po odbiciu jej przez bramkarza i czy może to zrobić także jego kolega z drużyny".

— Oczywiście, że może. Rzut karny został przecież prawidłowo wykonany, a odbicie piłki przez bramkarza tylko przedłużyło trwanie akcji, więc każdy z zawodników, będących na boisku, może zagrać piłkę według swego uznania; jeżeli jest napastnikiem, może strzelać na bramkę, jeśli obrońcą — wybić ją w pole.

Inna sytuacja zachodzi wówczas, kiedy nie bramkarz odbije piłkę, lecz po kopnięciu jej z punktu karnego, odbije się ona sama od poprzeczki lub słupka. Wtedy zawodnikowi, który wykonał rzut, nie wolno dotknąć piłki, natomiast może grać każdy inny zawodnik.

Czesław Ciuta z Siedlowej Tyczyskiej, pow. Rzeszów, ma „wątpliwości", czy bramkarz może trzymać piłkę ręką?

— To zależy kotra. Jeżeli swojej drużynie — to może strzelić bramkę (samobójczą) ręką lub nogą. Mam wrażenie, że młodemu piłkarzowi z Siedlowej chodzi jednak o bramkę strzeloną przeciwnikom. Tak?

Więc ręką nie może, ponieważ bramkarzowi wolno grać rękami tylko na własnym polu karnym, a z chwilą opuszczenia tego pola staje się on zwyczajnym zawodnikiem, takim samym, jak jego pozostałych 10 kolegów z drużyny. A zatem, może grać tak samo jak oni, czyli bez pomocy rąk. Może więc strzelić nogą, głową, kolanem, brzuchem itp. tylko ręką nie wolno mu dotykać piłki.

Wasze szkolne boisko jest wprawdzie małych rozmiarów i bramkarz jest w stanie rzucić piłkę ręką z własnego pola karnego do bramki przeciwników, ale przepisy nie pozwalają na uznanie tak zdobytej bramki. To przecież nie jest piłka ręczna, lecz nożna, a to, że bramkarz jest na własnym polu karnym uprzywilejowany i może korzystać z rąk przy obronie bramki, wcale nie upoważnia go do nadużywania tego przywileju w celu strzelania goli. (G. A.)

---

przegradzającą komory ma grubość zaledwie 0,025 mm. W niej znajdują się zakończenia nerwów, które łączą się z mózgiem.

Tak wygląda opis tego dziwnego „urządzenia". Ale do czego ono służy? Odpowiedź znaleziono dopiero w 1937 roku.

Termolokator

W GŁĘBIENIA między nozdrzami a oczami okazały się termolokatorami. Są to organy, które są zdolne określać dokładnie bardzo małe różnice temperatury, wynoszące zaledwie 0,1 stopnia. Jest to więc żywy termometr. Mało tego, organy te określają również miejsce dowolnego ciała, które wysyła ciepłe promienie. Jest to więc również żywy radar.

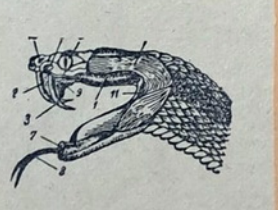

Aparat jadowy żmii: 1 — gruczoły wytwarzające jad; 2 — zęby jadowe; 3 — otwór w zębie, będący zakończeniem kanału jadowego, przez który spływa jad; 4 — termolokator; 5 — oczy; 6 — mięśnie, które poprzez skurcze tłoczą jad z gruczołów do zębów; 7 — kanał oddechowy; 8 — język; 9 — fałda błony śluzowej działa; 10 — nozdrza; 11 — wejście do krtani i przełyku.

Jak doszli uczeni do tego odkrycia? Eksperyment przebiegał następująco: Wzięto zwykłą żarówkę i owinięto ją w czarny papier. Gdy żarówka była zgaszona, a więc chłodna, żmija nie reagowała na jej obecność. Skoro jednak zaświecono żarówkę, żmija natychmiast poczuła jej ciepło — podniosła łeb rozglądając się bacznie wokoło, a następnie zaatakowała to miejsce, gdzie znajdowało się źródło ciepła. Eksperyment powtarzano wielokrotnie, zmieniając odległość i położenie zakonspirowanej żarówki — żmija zawsze dokładnie potrafiła ją znaleźć. Okazało się przy tym, że gad znajduje źródło ciepła z odległości około 35 cm. Jednakże gdy ciało wysyłającego ciepłe promienie posiada taką samą temperaturę jak otaczające powietrze, termolokator żmii nie potrafi go zidentyfikować.

Domyślacie się już zapewne, do czego może służyć żmii to ciekawe urządzenie. Właśnie do nocnych polowań na różne drobne zwierzęta. Nocą temperatura powietrza jest znacznie niższa niż w dzień, wobec tego ciepło własne jakiegokolwiek zwierzęcia łatwiejsze jest do wykrycia.

Przyroda najdoskonalszym inżynierem

W STWIERDZENIU tym nie ma żadnej przesady. Nie tylko termolokator żmii jest tego dowodem. Znane są również doskonałe urządzenia ultradźwiękowe delfinów i nietoperzy, baterie elektryczne drętw lub węgorzy elektrycznych. Wydajność i niezawodność działania tych żywych organów jest wielokrotnie większa niż zbudowanych przez człowieka i na długo będą niedoścignionym wzorem.

Uczeni poznali przeznaczenie termolokatora żmii, ale w dalszym ciągu nie dawała im spać sprawa jego działania. Tajemnicę tę rozszyfrowali uczeni angielscy w roku 1952.

— W jaki sposób słabiutkie źródło ciepła staje się dla zwierzęcia dokładnym sygnałem? — zadano sobie pytanie.

— Ciepło docierające do termolokatora powinno wywoływać w zakończeniach nerwowych słabe prądy elektryczne, tzw. bioprądy, które wędrując prosto do mózgu, niosą ze sobą informacje — postawiono hipotezę. Chcąc ją udowodnić przeprowadzono eksperyment.

Najpierw podano żmii środek narkotyczny — kurarę. Gad nie czuł bólu, kiedy do jednego z zakończeń nerwowych, znajdujących się w membranie (patrz rysunek), podłączono specjalne urządzenie elektryczne. Jego zadaniem było rejestrowanie ewentualnych bioprądów.

Kiedy wszystko przygotowano, rozpoczęło się właściwe doświadczenie. Pod paszczę żmii podsuwano najpierw silne środki pachnące —

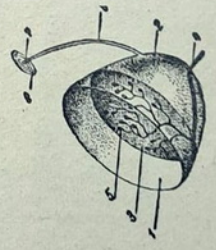

Tak zbudowany jest termolokator żmii: 1 — komora zewnętrzna; 2 — komora wewnętrzna; 3 — membrana przegradzająca komory; 4 — przewód nerwowy prowadzący do mózgu; 5 — zakończenia nerwowe; 6 — wąski kanał; 7 — mikroskopijny otworek kanału na powierzchni ciała; 8 — mięsień zamykający otwór kanału. Połączenie komory ze światem zewnętrznym powoduje, że temperatura wewnątrz tej komory jest taka sama jak otoczenia. Odchylenia od tej normy, np. przez promieniowanie jakiegoś ciała, odbiera zewnętrzna powierzchnia membrany i przekazuje za pomocą bioprądów do mózgu.

przyrząd nic nie zarejestrował. Później przybliżono urządzenie wydające dźwięk, drgania — i tym razem w przewodach nerwowych nie zjawił się prąd. Gdy zbliżono jednak nagrzany przedmiot, strzałka przyrządu natychmiast wychyliła się wskazując przepływ bioprądów. Największą reakcję przy tym wywołały promienie podczerwone, o długości fali 0,01 — 0,015 mm. Są to właśnie te same fale, które niosą ze sobą maksymalną ilość ciepła wysyłanego przez żywe organizmy.

Mysz skacząca jak kangur

ŻMIJA POSIADA śmiercionośny jad oraz znakomity organ określający dokładnie miejsce przeciwnika, a mimo to często jest przechytrzana na polowaniu przez inne zwierzęta. Taką „sprytjarką" jest mysz, skacząca jak kangur i mająca znakomity słuch. W momencie wykonania skoku, żmija wydaje delikatny odgłos trąc skórą o podłoże. To wystarczy. Mysz natychmiast skacze jak sprężynka na wysokość 50 cm. Gad został oszukany, bo w miejscu, gdzie powinna być zdobycz — jest pusto. Atak żmii i unik myszy — wszystko to odbywa się dosłownie w mgnieniu oka.

*

Przykład termolokatora żmii wskazuje, że człowiek długo jeszcze będzie musiał obserwować zwierzęta, aby wydrzeć im wszystkie tajemnice. A jeszcze więcej czasu upłynie, zanim nauczy się naśladować działanie niektórych organów zwierząt, budując skomplikowane i... gorsze urządzenia elektroniczne.

St. BOROWIECKI

Wśród mieszkańców Indii i Pakistanu nierzadko można spotkać zahipnotyzowanych żmij, oraz znachorów, którzy leczą jadem tych gadów mnóstwo dolegliwości. Jednego z nich przedstawiamy na zdjęciu. Mohamed Rastom z Pakistanu, w ogóle nie boi się żmij ani ich ukąszenia. W czasie długoletniego obcowania z gadami wytworzyły się w jego organiźmie przeciwciała neutralizujące działanie jadu. Rastom może wypić aż 50 gramów czystego jadu i mu to nie szkodzi. Przeciętny człowiek zginąłby od dziesięciokrotnie mniejszej dawki.

KLUB nastolatków

ONA I JA

ONA i ja — co roku wyjeżdżamy na wakacje razem. Niby to ma urządzić rodziców. Bo to — uważają — i pewniej, i bezpieczniej, gdy jesteśmy we dwie. No i taniej. Bo w stołówce jemy tylko obiady, a śniadanie i kolacje robimy sobie same — w campingu. Maszynka spirytusowa, czajnik, patelnia, kubki, dwa talerze, nadłamane widelce, to bez mała cały nasz majątek. Ale nie o to idzie.

Ogarnia mnie cicha irytacja, (nie krzyczę, bo nie lubię się kłócić o byle co) gdy ONA zaczyna „nadawać". Nie wiem czy i wy spotykacie się z takimi typami.? Jeśli uda mi się pójść na studia, to chyba zacznę się uczyć psychologii, żebym lepiej mogła poznać co to za gatunek homosapiens.

Obydwie naprawdę robimy po równo. Zamiatamy domek i sprzątamy co drugi dzień na zmianę. No a ten jeden talerz i kubek, to już każda myje po sobie. Ale wystarczy, gdy ja położę się z książką, a ona tymczasem musi — dajmy na to — ubić kogiel-mogiel lub utrzeć pozlomki. Natychmiast robi się pochmurna, nadyma usta i koniec. Ja udaję, że niby czytam, że nic nie dostrzegam, ale cała dygoczę ze złości na tę idiotkę. Bo wiem, że za chwilę usłyszę: „Coś mi się wydaje, że ja tu za dużo robię. Może byś tak wstała i wzięła te pozlomki, co? Przecież po to je robiłam. Reka mi odpada, a ty nic, tylko leżysz".

Jędza. A wczoraj o tej samej porze dla nas obu zrobiłam deser. I podstawiłam jej pod nos.

Mam nauczycielkę, która kiedyś powiedziała: „Rzecz dla kogoś zrobiona, a wymówiona, traci całą swoją ważność, nie ma znaczenia. Nawet, jeśli będzie chodziło o łebek od szpilki". Mądre słowa. Ale teraz nic mi one nie pomogą. Kipię ze złości. I myślę, że się postawię, że nie zjem tego co ONA z takim trudem zrobiła. DLA MNIE. (bs)

JA

DO „MIŁOŚNIKÓW" MUZYKI

NIEDAWNO do Sandomierza przyjechał zespół „Czerwono-Czarnych". Wszystkie bilety zostały wykupione. Na występie prawie sama młodzież. Na palcach od jednej ręki można by wyliczyć starszych. Na sali, w której odbywał się występ, z kilkunastu wzmacniaczy, „wydzielały" się ogromne hałasy. Po prostu trudno było wytrzymać. Do przerwy jednak jakoś się wytrzymało. Po przerwie w widzów jakby diabeł wstąpił. Zaczęli krzyczeć, wyć, machać i rzucać marynarkami. Poobrywali kurtynki na drzwiach wyjściowych. Hałas dwukrotnie się zwiększył! W ogóle nie słychać było słów piosenek, które wykonywali tak popularni artyści jak: K. Sobczyk, K. Stanek, czy T. Keczer. Po występie wyszedłem prawie głuchy i przysięgłem, że drugi raz na żaden występ nie pójdę.

Czyż młodzież w taki sposób pokazywała swoje zadowolenie? Gdzie kulturalne zachowanie? Kto zapłaci za zniszczone kurtynki? Proszę wydrukować mój list, może przemówi do serca „miłośnikom" muzyki. (rj)

„RAMZES"

PRZESTROGA DLA UCIEKINIERÓW

MOI ROWIEŚNICY poruszają w Klubie różne problemy, opisują radości i smutki swego życia. Ja chcę wrócić do jednej sprawy;

Wielu chłopców (czasem też i dziewczęta) pragnie zwiedzić świat. I cóż wtedy robią? — No jasne — uciekają z domu.

Ja byłem jednym z nich. Uciekliśmy z kolegą z domu. Kiedy dojechaliśmy do P. wysiedliśmy z pociągu, ponieważ uznaliśmy to za głupotę. Ogarnął nas strach przed odpowiedzialnością.

Ile przeżyli nasi rodzice, lepiej nie wyliczać.

Może wydrukowanie mojego listu pomoże uciekinierom zrozumieć, że to nie jest dobra przygoda. Ucieczka jest dobra na filmach, w życiu bywa inaczej. Pozostają tylko później przykrości i zmartwienia. (rj)

NASTOLATEK
Z WARSZAWY

NIE IGRAJ Z OGNIEM

ZOSTAŁEM SAM. Bolała mnie głowa. Zrezygnowany położyłem się. Wzrok mój padł na szafkę, na której leżały zapałki. Bez zastanowienia wziąłem je do ręki. Na etykiecie widniał napis: „Nie igraj z ogniem".

To już zapałki zapalić nie wolno? — pomyślałem. Ze złością podszedłem do okna, odsunąwszy firankę, popatrzyłem na rosnący w doniczce asparagus. Jedna z gałęzi była wyschnięta. Przy najmniejszym ruchu suche igiełki opadały na parapet okna. Z lekkim drżeniem wyciągnąłem zapałkę i zapaliłem. Czerwony płomyk kołysał się we wszystkie strony i zgasł. Odruchowo wyjąłem drugą zapałkę, którą zapaliłem, i płomień skierowałem tym razem na suchą gałązeczkę asparagusu. Usłyszałem suchy trzask palących się igiełek. Po czym płomień znikł. I wtedy wydarzyła się rzecz straszna: górna część firanki płonęła jaskrawym płomieniem Biały dym kłębami unosił się pod sufitem. Z olbrzymim strachem, a zarazem ze zdumieniem, zerwałem płonącą firankę i odskoczyłem. Pokój był pełen dymu.

Płonąca firanka leżała na kanapie. Straciłem panowanie nad sobą. Z głośnym krzykiem wybiegłem na korytarz. Zobaczyłem tam zdumionego sąsiada. Ja jednak już nic nie słyszałem i z jeszcze większym strachem wybiegłem z domu. Wówczas sąsiad przystąpił do akcji. Dzięki jego pomocy pożar został ugaszony.

Do domu bałem się wejść. Przyszedłem dopiero wieczorem, gdy już byłem bardzo głodny. Rodzice z goryczą patrzyli na mnie. Stałem przed nimi w milczeniu. Ojciec zdjął z wieszaka „lekarstwo" i co było dalej, łatwo się domyślić. Dopiero na drugi dzień dowiedziałem się, jakie wyrządziłem szkody. Łóżka były całe zalane wodą, kanapę też diabli wzięli... (bs)

ANDRZEJ
Złoty Stok

WAKACYJNE ZEBRANIE NASZEGO KOLEGIUM

Wakacje wakacjami, ale redakcja redakcją. Trzeba w niej pracować bo czytelnicy przecież czekają na gazetę i to może nawet bardziej jeszcze niecierpliwie niż w czasie roku szkolnego.

Dlatego też, Szanowni Członkowie Kolegium, za jakich oczywiście uważam wszystkich, którzy czują się współredaktorami „Świata Młodych" — niniejszym są proszeni na krótkie zebranie.

Możemy zaczynać?

Po pierwsze dziękuję za liczne, bardzo ciekawe i pomocne redakcji przy układaniu planów na lato — Wasze listy i wypowiedzi, jakie otrzymałem w czerwcu. Część pomysłów, które nam zaproponowaliście, realizujemy podczas wakacji. Resztę — w nowym roku szkolnym.

A teraz stawiam przed Wami zadanie kolegialne na lipiec i sierpień, a właściwie chcę zaproponować wszystkim, którzy mają fantazję i ambicje literackie — mały konkurs na temat: „MOJE WYMARZONE WAKACJE". Możecie zmyślać, że spędzacie wakacje np. w innej epoce historycznej, na innej planecie, bądź też w naszych czasach, na naszej Ziemi — ale w dowolnym jej punkcie. Możecie opisywać zdarzenia i przygody wymarzone, spotykać się z ludźmi — z którymi chcecie odwiedzić w wyobraźni te miejsca, jakie chcielibyście zobaczyć, ale w życiu jest to niemożliwe.

Jednym słowem: piszcie małe opowiadanko, na jedną, dwie strony z zeszytu. Czekamy na Wasze wymarzone przeżycia wakacyjne. Najciekawsze będziemy drukowali. Tylko spieszcie się z pisaniem. A na kopercie zaznaczcie:

KOLEGIUM REDAKCYJNE.

Czy mogę liczyć, że wszyscy „literaci" spośród naszych czytelników wykonają to zadanie?

REDAKTOR NACZELNY

Foto J. Dąbrowski

JESTEM JEDNYM Z „BOHATERÓW"...

Palę papierosy, rozbijam się...

Szkoły nie skończyłem, kończę ją dopiero na „Wieczorówce". Teraz wiem, że popełniłem wielki błąd.

Rodziców nie mam, jestem pod opieką wujka, który nigdy mi nic nie tłumaczył, tylko często dobierał się do skóry. To jednak nie pomogło.

Z czasem, kiedy zacząłem więcej rozumieć, doszedłem do wniosku, że takie życie nic mi nie daje. Wręcz odwrotnie, odstrasza ode mnie ludzi. Pewnego dnia powiedziałem sobie: „Stop"!

Sądzę, że bardzo się zmieniłem. Nic mnie już nie łączy z moimi byłymi „przyjaciółmi". Polubiłem za to książki, gazety.

Uczę się i pracuję, żałuję tylko, że dalej część moich rówieśników, tych których nazywam „lalusiami", nadal się odsuwa ode mnie. Tamtych rzuciłem sam, ci odrzucili mnie. (rj).

ZGUBIONY „BOHATER" z Koszalińskiego

SPECJALNY WAKACYJNY TELEFON

28 77 21

— Halo, halo, dzwonimy z Częstochowy. Chcielibyśmy, aby Specjalny Wakacyjny Telefon opublikował kilka śmiesznych gier. Na podwórku jest nas wielu i chcielibyśmy przeprowadzić coś wesołego.

— Proszę bardzo. Telefon jest do waszych usług. Znacie „ciuciubabkę"?

— Nie.

— Więc słuchajcie. Postarajcie się o dwa szaliki do zawiązania oczu, dwie pileczki palantowe, klocki lub inne niewielkie przedmioty. Z kolei wyrysujcie na podwórku dwa tory o długości 10 metrów i szerokości 1 metra. Na końcu toru położcie np. dwie pileczki. Teraz będzie tak: sędzia na starcie zawiązuje zawodnikom oczy i wypuszcza ich na tor. Zawodnicy mają przejść tor i znaleźć na jego końcu pileczkę, albo inny przedmiot. Sędzia i kibice uważają, aby zawodnicy nie zeszli z toru. Trzeba więc zawodnikom podpowiadać głośno, aby nie przekroczyli toru. Jeśli zawodnicy przejdą 10 metrów, muszą znaleźć te pileczki. Gdy tego dokonają, następuje zmiana zawodników. Zrozumieliście?

— Tak.

Możecie się też zabawić w „indiańskiego wojownika". Tę grę najlepiej przeprowadzić na leśnej polanie. Jeden z chłopaków siada na ścięty pień drzewa. Trzeba mu teraz dobrze zawiązać oczy. Wokół pnia poukładajcie szyszki. A teraz tak: chłopaki kolejno podchodzą do wartownika. Skradają się jak najciszej, aby wykraść mu szyszki. Wartownik stara się wyłowić każdy szmer. Jeśli usłyszy skradającego się, pokazuje w jego kierunku ręką. Jeśli wskazane miejsce jest trafne, odkryty wycofuje się z gry. Ten chłopak, który podejdzie najbliżej i zabierze najwięcej szyszek, a następnie nie zauważony wycofa się, otrzymuje miano „indiańskiego wojownika".

— Niezła zabawa.

— Chcecie jeszcze jedną?

— Pewnie!

— Wyrysujcie na podwórku koło o średnicy 2—3 m. Do jego środka wchodzi dwóch albo czterech chłopaków. Stają oni tuż przy sobie, odwróceni do siebie plecami. Nogi mocno zapierają o ziemię a ręce trzymają z przodu. Na znak sędziego wszyscy zaczynają przepychać się plecami, próbując wyrzucać się nawzajem poza obręb koła. Wygra ten, który nie pozwoli się wypchnąć.

— Dziękujemy;

— Życzę wesołej zabawy.

Telefon przyjął i rad udzielił:

red. ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

Foto W. Hudon

W TYM SĘK

ZDAJE MI SIĘ, że wielu uległo wakacyjnej chorobie pod nazwą „utrata siły woli". Dlaczego tak piszę? Bo pamiętam wspaniałe plany, nad którymi wielu moich znajomych myślało całymi dniami. Mówili, że na wakacjach będą chodzili na wspaniałe wycieczki, będą przeżywali niezwykłe przygody, będą prowadzili nawet niezwykle ważne poszukiwania. Po prostu, że będą to wakacje, jak żadne inne. I co? I nic.

Stoi na podwórku grupka niezdecydowanych::

— Co robimy?

— Nudno. Może by tak do kina?

— Może... Kto idzie do kina?

Wszyscy się zgadzają. I kiedy Zbyszek nieśmiało mówi, że on by wolał na wycieczkę, bo przecież pogoda wspaniała — koledzy się dziwią:

— Wylamujesz się?! — mówią groźnie. — Takiś kolega?

Zbyszek idzie do kina — mimo że nie chce, mimo że był na tym filmie w ubiegłym tygodniu, mimo że pogoda wyśmienita... Bo tak chcą koledzy, bo on nie może się wylamywać.

Uległ raz, ulegnie drugi raz, trzeci, dziesiąty. Przejdą wakacje i wszelkie wspaniałe plany diabli wezmą. Dlaczego? Ot, po prostu nasz Zbyszek zachorował na lekką utratę siły woli.

Kto znajdzie lekarstwo na tę chorobę? (wk)

SZEF SUPERSAMU

super sam

ZBÓJNICY Z KAMESZNICY

WŁADEK D. z powiatu Żywiec (woj. Kraków) przysłał nam opowieść swojej babci. Dowiadujemy się z tej opowieści, że bywali również zbójcy podobni do dzisiejszych chuliganów. Nie przypominali w niczym owych sławnych Janosikowych zbójników z Tatr. Posłuchajmy:

„Dziadek mojej babki, Tomala, stał przy domu. Nagle zobaczył, że dziedziczka z Kamesznicy jedzie na koniu po jego polu ziemniaczanym. Tomala rozczszczony powiedział:

— Co to za wlóka jedzie po moich ziemniakach?

Dziedziczka dosłyszała. Pogroziła pięścią.

— Już ja ci pokażę — powiedziała i odjechała.

Otóż dziedziczka miała w domu swoim dwa sufity. Między nimi ukrywała zbójników. Nastała więc dziedziczka na Tomalę zbójników za to, że ją obraził.

— Nocą, kiedy Tomala spał, przyszli zbójnicy. Związali Tomalę.

— Gdzie masz pieniądze?!

— krzyczeli.

— Nie mam pieniędzy— odpowiadał Tomala.

I zbójnicy zaczęli Tomalę męczyć. Potem znów zapytali:

— Gdzie masz pieniądze?

Wskazał im stępkę stojącą w kącie. Było tam trochę pieniędzy, ale za mało, jak na chciwość zbójników.

Zbójnicy znowu zaczęli męczyć Tomalę. Ale góral milczał. Kiedy świtało, zbójnicy zostawili Tomalę i wrócili do Kamesznicy.

Ludzie znaleźli Tomalę zemdlonego. Leżał na podłodze. Ocucili go i położyli do łóżka. Nie mógł mówić. Napisał tylko na karteczce, że w komorze pod trzecią dylną są zakopane pieniądze. Przed południem zmarł.

A tych pieniędzy do dziś nie znaleziono..." (wk)

Foto M. A. Karewicz

Spróbuj Rozwiązać

ROZETKA

Prawoskrętnie: 1 — produkt wybuchów wulkanicznych; 2 — ogólnie uznawane formy w ubiorze; 3 — imię psa z książki „W pustyni i w puszczy"; 4 — skała podwodna; 5 — oddział żołnierzy, forma przysięgi; 6 — wynik dodawania; 7 — część należności; 8 — następstwo winy; 9 — rzeka we Francji, Belgii i Holandii; 10 — zwierzę raciczkowe dostarczające wełny, kapłan buddyjski; 11 — inaczej gawron, ktoś nieuważny, mało spostrzegawczy; 12 — mały wóz kołowy.

Lewoskrętnie: 1 — szkło powiększające; 2 — zjawisko senne, ułuda; 3 — ptak, prowadzi tryb życia nocny; 4 — może być gminna, powiatowa, wojewódzka; 5 — dopływ Wisły; 6 — duży mebel wyścielany, rodzaj kanapy; 7 — ziele o balsamicznej woni; 8 — dopływ Wołgi; 9 — plecionka w rodzaju dywanu; 10 — otwarty towarowy wagon kolejowy; 11 — cienka przezroczysta tkanina; 12 — rozgłos, pogłoska, opinia.

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej lub kopercie: Spróbuj rozwiązać. Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane nagrody książkowe.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

ROZWIĄZANIE KWADRATÓW MAGICZNYCH Z NUMERU 44

Wyrazy: opal, para, arab, Łaba, brek, rola, elew, kawa, atak, Tuła, ałun, Kant, Krak, rura, Aram, Kama, tona, ozon, nogi, Anin.

Nagrody książkowe wylosowali: Jan Borek — Nowa Jastrząbka; Grzegorz Hain — Piotrków Trybunalski; Barbara Kalinowska — Augustopol; Urszula Kobecka — Warszawa 44; Tadeusz Komecki — Kołobrzeg; Danuta Kumańska — Czajków; Włodzimierz Mikołajczak — Rawicz; Regina Szameto — Lubiesz; Janusz Szklarski — Brzeg Dolny; Barbara Wrona — Częstochowa.

Rozdział VII

Zaczęło się całkiem niewinnie

PEWNEGO jesiennego popołudnia w zapadającym już mglistym zmierzchu siedzieli całą paczką na pustym o tej porze skwerku, w pobliżu domu. Rozmowa nie kleiła się. Saksofon brzdąkał leniwie na gitarze. Misiek wtórował mu ochrypłym falsetem. Szef, trzymanym w ręku kijkiem rysował zawiły monogram na wilgotnej ziemi. Czas wlókł się niemiłosiernie wolno, wszystkich ogarnęła senna obrzydliwa nuda. Co robić ze sobą w długie jesienne wieczory? Na kino nie zawsze są pieniądze, świetlica to nie dla nich zabawa, w domu ciasno i te wieczne upominania rodziców: — „Odrobiłeś już lekcję, to zajmij się czymś, nie marnuj czasu".

Ściemniało się na dobre, zamigotały długie błękitne laski świetlówek. I wtedy Wiktor wyjął procę, wyłowił z kieszeni kilka ziarnek grochu i powiedział do Staszka.

— Założę się, że trafię w lampę.

— Ee tam, trafisz. Za wysoko — mruknął apatycznie Staszek.

— No założę się — nie ustępował Wiktor.

— Dobra. O dwie fajki.

Wiktor podniósł procę, przymrużył oko, celował chwilę, naciągnął gumę i puścił. Rozległ się cichutki brzęk.

— Trafił, trafił! — zawołał Misiek.

— Ee tam, trafił! Skąd to wiadomo? — zaoponował Staszek, któremu żal się zrobiło dwóch papierosów.

— Stuknęło, wszyscy słyszeli — oburzył się Wiktor.

— Stuknął, stuknęło, ale nie wiadomo czy w lampę? Może w słup?

— Strzelaj jeszcze raz, Wiktor — powiedział Franek zwany Orczykiem.

— Ale weź coś większego, groch za mały, nie widać go — poradził Misiek.

— Kasztan będzie najlepszy.

Saksofon pogmerał w kieszeni i wyłowił dużą brunatną kulę.

— Masz.

Tym razem nie mogło być wątpliwości. Staszek przegrał swoje dwie fajki. Huknęło głośno, z brzękiem posypało się szkło, świetlówka zgasła. Chłopcy zerwali się z ławki i dali nura w pobliskie zarośla. Ale po chwili przekonali się, że huk i brzęk nie zwrócił niczyjej uwagi. Na skwerku było pusto, nielicznych przechodniów na ulicy nie zaalarmował hałas. Otrzepując ubrania wypełzli z krzaków.

— Niepotrzebnieśmy się zlękli — powiedział Saksofon.

— Bo okropnie huknęło — tłumaczył Orczyk, który pierwszy zwiał z zagrożonej ławki.

— Daj, ja spróbuję. — Misiek był zły, że taki Wiktor pokazał niezłą klasę.

Próbowali wszyscy, proca była w ciągłym ruchu, ale tylko Szefowi udało się trafić kasztanem w metalową oprawę świetlówki.

— To nie tak łatwo — powiedział chełpliwie Wiktor.

Przyznali mu rację i gdy ktoś zaproponował, aby Witkowi nadać pseudonim „Lampa", przyklasnęli mu z ochotą. Ożywieni, rozgadani wrócili do domu. A potem to już weszło w zwyczaj. Wybierali ciemne, odludne skwerki, opustoszałe alejki w parku i łupili do lamp, póki starczyło amunicji.

Po pewnym czasie przeczytali w gazecie notatkę opatrzoną tytułem: „Jak długo chuligani dewastować będą oświetlenie naszego miasta?" i zakończoną tradycyjnym pytaniem — „Co na to milicja?"

Wtedy Szef zarządził przerwę w zawodach.

— Po tej notatce będą mieć oko na nasze tereny. Lepiej im nie wychodzić na strzał.

I znów przypadek ukazał im nowe możliwości. Wracali w czwórkę z kina — Szef, Misiek, Staszek i Ewa. Nie spiesząc się, szli leniwym krokiem, oglądali wystawy, Misiek zabawiał się podrzucaniem kamienia na czubku buta. Skręcili ze Świdnickiej w Teatralną, minęli łaźnię, park im. H. Sawickiej. U wylotu Wierzbowej Staszek zatrzymał się.

— Ładny wózek — powiedział wskazując na samochód zaparkowany w bocznej, słabo oświetlonej ulicy.

— Nowy model volkswagena — mruknął obojętnie Szef.

— Czekajcie — krzyknął Staszek do oddalających się kolegów.

Przystanęli. Wiadomo było, że Staszek ma bzika na punkcie samochodów. Czekali cierpliwie, gdy nagle usłyszeli podniecony szept:

— Chodźcie tu, szybko!

Zbliżyli się do wozu. Staszek trzymał rękę na klamce.

— Coś takiego — zdziwiła się Ewa — otworzyłeś?

— Nie, facet zapomniał zamknąć. Przypadkiem nacisnąłem, patrzę drzwi się otwierają.

— Pacan — mruknął Szef — można by mu poderwać karetę.

— A kluczyki? Przecież zabrał.

— Słuchajcie — zaniepokoiła się Ewa — chodźmy. Jeszcze nas ktoś zobaczy i będzie draka.

— Co się łamiesz? — skarciła ją Szef — nikogo nie ma.

— O rany — westchnął Misiek — patrzcie!

Na tylnym siedzeniu leżała piękna nowa teczka z jasnej skóry, ortalionowy płaszcz i małe tranzystorowe radio.

— Samo nam włazi w ręce — Staszek spojrzał wahająco na kolegów.

— Szefie, puścić taką okazję?! Radio warte ze dwa brudasy, a płaszcz, a teczka?

— Co ty, Misiek — oburzyła się Ewa — przecież to kradzież!

Kazek zawahał się. Przyznać rację Ewie to znaczyłoby stracić twarz. Tyle razy mówił, że forsę trzeba zdobywać przez ryzyko. Teraz miał okazję poprzeć swoją teorię czynem. Ale z drugiej strony... Nigdy jeszcze nikomu nic nie wziął. Podbierania papierosów ojcu i wynoszenia wina z kredensu nie uważał za kradzież. Co rodziców to i moje — rozumował. Raz jeszcze spojrzał na twarze Staszka i Miśka. Dostrzegł na nich zawód i coś jakby lekceważenie. Wyprostował się.

— Brać radio i płaszcz — rozkazał szeptem — teczkę zostawić, za bardzo znaczna, mogłaby podpaść.

— Ale Szefie — zaoponował Misiek.

— Milcz.

Poszli potem normalnym swobodnym krokiem, Staszek ze zwiniętym płaszczem pod pachą, Misiek niosąc radio w kieszeni marynarki. Serca waliły im na alarm, po plecach spływały cieniutkie strużki potu. Potem gdy weszli na gwarną ulicę Traugutta i przekonali się, że nikt ich nie goni, nikt nic nie zauważył — strach nieco minął.

Nie odczuwali wyrzutów sumienia. Przecież nie otworzyli samochodu nie włamali się. Trzeba pacanów uczyć rozumu. Jak taki ma kurzą pamięć i zostawia wóz otwarty, to trudno. Tylko Ewa czuła się źle. Policzki jej płonęły, ręce drżały, bała się. Wiadomo, dziewucha! W bramie kamienicy Szef zatrzymał się:

— Dawajcie te graty, przechowam u siebie.

Oddali bez protestu. Kazek mógł wejść do swego mieszkania z wrocławska iglica i nie zwróciłoby to niczyjej uwagi.

— Trzeba będzie opylić — mruknął Misiek gryząc zawzięcie paznokcie.

— Później — odparł lakonicznie Szef i dodał: — A teraz gęba na kłódkę, żadnego chwalenia się nawet przed naszymi, bo... — spojrzał tak groźnie, że Staszek poczuł mrówki lecące wzdłuż krzyża.

— Szefie, na co ta mowa skrzywił się Misiek — mur, żelazo, beton. Sami siebie wpakujemy?

— A ty — zwrócił się Szef do Ewy — jak piśniesz słowo, pożałujesz!

Pokręciła przecząco głową.

— Nic nie powiem. Słowo honoru — wykrztusiła.

— No, pamiętaj. A teraz jazda, rozejść się.

Kazek długo nie mógł zasnąć tej nocy. „Jestem złodziejem" — powtarzał raz po raz.

Po kilku dniach Staszek sprzedał radio i płaszcz jakiemuś handlarzowi na placu za jedną czwartą część wartości. Gdy spróbował oponować, mężczyzna uśmiechnął się krzywo i powiedział:

— Zanieś do komisu, tam ci dadzą więcej.

Staszek zamilkł i wziął sześć zmiętych brudnych stuzłotówek.

— Łajdak — skrzywił się Szef odbierając forsę — sam trafi na tym towarze dwa razy więcej.

— Wiadomo — pokiwał głową ze zrozumieniem Misiek — kradzione leci za pół darmo.

C. d. n.

Gang z ulicy Brzeskiej

(8)

STANISŁAWA PLATOWNA

Rys. St. Rozwadowski

Trzecia korespondencja
red. WIESŁAWY MROCZEK
nadesłana
z północnego Atlantyku

Witaj Atlantyku

Z usług Neptuna przy przekazywaniu wieści korzystali żeglarze od wieków. Niejednokrotnie prądy morskie wyrzucały butelki z listami na lądy odległe o tysiące mil... Bosman pan Józef Ratajczak zabezpieczył butelki grubym sznurem i zaopatrzył je w potężne pętle. A nuż wyłowią je bosakiem marynarze z jakiegoś statku... Na zdjęciu bosman i autorka z... pocztą.

19 KWIETNIA

JESZCZE W GDYNI obiecałam sobie, że każdy dzień na statku poświęcę innej pracy. W ten sposób lepiej poznam ludzi i holownik. Planom przeszkodził sztorm.

Wieje „ósemka", ssie mnie w dołku, ale wytrzymać można. Jesteśmy w Kanale La Manche, gdzie przestrzeń wodna jest ograniczona lądami. Buja mniej i samopoczucie się poprawiło.

— Zacznę od kuchni — postanawiam i, czepiając się poręczy, brnę tam, skąd dochodzi pobrzękiwanie rondli. Staję w drzwiach. Do środka na razie nie wchodzę, bo tam trzeba parę kroków bez trzymanki.

— Głodna pewnie pani — szef kuchni ma twarz pełną współczucia — po takiej chorobie tylko jeść... Konrad pani przyniesie do messy. Tu nie trzeba wchodzić, posadzka śliska...

— Ja chciałabym pomóc...

— Pomóc?! Nam?!

Obaj panowie: szef kuchni i jego zastępca uśmiechają się nawet uprzejmie, ale w oczach dostrzegam zakłopotanie.

— Nam w niczym nie trzeba pomagać. Zupka się gotuje, mięsko pokrojone...

— Oj! Przechył! — Szef odwraca się w samą porę, by złapać patelnię pełną tłuszczu, która błyskawicznie zsuwa się na skraj blatu kuchni. Garnki przewiązane sznurami pobrzękują i grzechoczą pokrywami. Gorąco.

— Tu niebezpiecznie... Mogłaby się pani poparzyć. Damy pani kompociku z wiśni, pani lubi? Albo lepiej Jasio zaniesie pani cały słoik do kabiny.

Asystent pokładowy Jerzy Gryniewiecki z rzutką.

— Może chociaż ziemniaków obrać — ciągnę uparcie i korzystając z chwilowej równowagi statku jednym susem dopadam stołu, który nie boi się przechyłu, bo nogi ma przyśrubowane do podłogi.

Przysiadam na stołeczku. Stołeczek jeździ pode mną posłuszny przechyłom. Naprzeciw, z drugim nożem, pan Konrad: Co obiorę ziemniaka, pan Konrad obierki z mego przysypuje swoimi. Kartofli jest ciągle mało, za to obierzyn przybywa.

Obraliśmy z pół rondelka i już dość. Pan Konrad twierdzi, że wystarczy że to tylko do zupy. Wstaje, zabiera nóż, a obierzyny szybko za burtę.

— Jakby tak ochmistrz zobaczył takie obieranie, zemdlałby z rozpaczy — mówi...

Prosto z kuchni zdążam na mostek. Zastaję tam bosmana.

— O, pani wstała? — w głosie wyczuwam zawód. — A myśmy się do pani właśnie wybierali. Przyszliśmy tylko kapitana zapytać, czy można...

Dowiaduję się, że na „Jantarze" jest taki zwyczaj, że jak ktoś choruje za długo, bosman, cieśla i jeden z marynarzy przeobrażają się w lekarską komisję. Wciągają na siebie białe kitle kucharzy, biorą termometr specjalnie do tych celów zrobiony i udają się z wizytą do chorego. Na receptę... zawsze wypisują drewnianą skrzyneczkę, w której ma spocząć delikwent, jeśli oczywiście natychmiast nie wyzdrowieje.

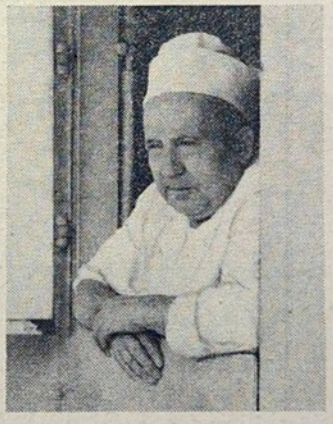

Upał czy sztorm, kuchnia pracować musi. Toteż dobrze wykorzystać każdy moment, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Na zdjęciu szef kuchni z m/s „Jantar" Antoni Żero.

— A dlaczego panowie nie przyszliście wczoraj...

Okazuje się, że jeden z „lekarzy" też był złożony morską niemocą...

20 KWIETNIA

TKWIĘ na mostku z lornetką przy oczach. O dobrą milę przed nami, trochę w lewo od dziobu „Jantara", mały kuterek walczy z falą. Rzuca nim tak, jak nami na Morzu Północnym. Są momenty, kiedy stateczek staje dosłownie dęba. „CLEOPTRA" — odczytuje napis na burcie. Jakże mi żal tamtej załogi...

— Mam coś dla pani — „Jantarek" wyciąga z kieszeni piętkę chleba — „sztormówka". Jeszcze się przyda... No i czego tak patrzymy? Za parę godzin Atlantyk, a wiatr się wzmaga...

— Za parę godzin Atlantyk, a ja... przecież właśnie przy wyjściu na Atlantyk mam wysłać do redakcji pocztę butelkową — przypominam sobie. — Trzeba szybko organizować butelki, pisać, lakować, robić zdjęcia. Czas najwyższy! Jesteśmy już na trawersie latarni Eddystone.

Tak zresztą zaczynam swój list: *„Kochani, jesteśmy właśnie na trawersie latarni Eddystone"*... Dalszej treści nie ujawnię, bo a nuż poczta dojdzie...

Pan kapitan na każdym liście rysuje pięknego Neptuna z trójzębem w ręku. Do każdej butelki wkładamy oddzielną karteczkę z tekstem angielskim, w której prosimy uprzejmego znalazcę o wysłanie listu do Polski, do redakcji „Świata Młodych".

Kiedy wszystko jest narysowane i napisane, opakowane w plastikowe torebki i włożone do grubych butelek po winie, wyłania się nowy problem: skąd wziąć korki? Biegam po kabinach, szukam. Pan Ślęzak daje mi cały słoiczek hermelitu, płynu używanego na statku do uszczelek. Pan Jaworski znalazł gdzieś kilka zakrętek do butelek, nawet pasują, ale korków brak. Z pomocą przyszedł dopiero bosman. W ogóle bez bosmana cała poczta wzięłaby w łeb. Kiedy już z butelkami szłam na rufę, żeby powierzyć pocztę opiece Neptuna i prądów morskich, okazało się, że trzeba je osznurować. Zabezpieczy to szkło przed rozbiciem o skały lub o burtę napotkanego statku.

Punktualnie o godz. 19.00, razem ze starszym marynarzem Ryszardem Sobczakiem, czyli „Jantarkiem", machnęliśmy za prawą burtę dwie butelki grubo oplecione sznurem.

— Kochany Neptunie, doprowadź je do jakiegoś odległego lądu — szepnęłam cicho, kiedy nikły między grzywaczami. Witaj, Atlantyku!...

WIESŁAWA MROCZEK
Fotografie autorki

PRAWDZIWKI, RYDZE, KURKI i KANIE PROSZĄ DO LASU NA GRZYBOBRANIE.

Foto J. Kasprzak

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK. tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", WARSZAWA ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00 Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch". Warszawa ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty
Zam. 911 T-40

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24

SYGNAŁ X-5

czyli ALERT CZECHOSŁOWACKICH PIONIERÓW

KILKANAŚCIE DNI TEMU czechosłowaccy pionierzy zakończyli ogólnokrajową grę bojową pod hasłem „Partyzanckimi ścieżkami". Przez wiele tygodni drużyny i zastępy zdawały podczas gier polowych egzamin zaradności w dziedzinie orientacji w terenie, udzielania pierwszej pomocy, strzelania itd. Zastępy maszerowały śladami partyzantów z ostatniej wojny, spotykały się z nimi i słuchały przy wieczornych ogniskach wojennych opowieści.

Końcowym akordem gry była operacja — SYGNAŁ X-5 — czyli wielkie zgrupowanie najlepszych oddziałów pionierskich z całej Republiki, w malowniczo położonym nad Wełtawą obozie, w Rowiszte. Obóz ten był również świadkiem sportowych zmagań i współzawodnictwa w umiejętnościach obronnych najlepszych zastępów z całego kraju, spotkań pionierów z przedstawicielami partii i rządu, z radzieckimi kosmonautami, czołowymi sportowcami i ulubionymi piosenkarzami.

Oto relacja z obozu bojowego w Rowiszte.

Z Czechosłowacji pisze JERZY KASPRZAK

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Na to bardzo trafnie odpowiedział mu jeden z chłopaków: „Tylko żeby druh dał nam dzisiaj spać. Wczoraj w nocy druh co chwila wyskakiwał z łóżka krzycząc: „Wartownicy do mnie! Wszyscy na swoje miejsca, drużyny naprzód, a ty, Szejbiku, leż i nie pokazuj czupryny. Kryj się!"... Salwa śmiechu. Tak, druh drużynowy przed rozpoczęciem wielkiej gry miał wyraźnie nerwowe sny...

Myliśmy się właśnie w Wełtawie, kiedy naprzeciw nas zapłonęło pięć wielkich ognisk. Ogromne szczapy paliły się jak podpalone pagody. Ludowe pieśni brzmiały na przemian z pieśniami partyzanckimi. Ktoś śpiewał cienkim głosem „tych tysiąc mil, tych tysiąc mil" (jak gdyby nie wystarczyło mu tych jutrzejszych szesnastu kilometrów partyzanckiego marszu).

Wtem ze zdziwieniem zauważyliśmy w środku namiotowego miasteczka malutkie ognisko. Cichutko podeszliśmy do siedzących wokół niego postaci.

— Z jakiego jesteście oddziału? — pytamy.

— „Kulawy Orfeusz" — padła lakoniczna odpowiedź.

— Dlaczego trzymacie się na uboczu, czemu nie jesteście ze wszystkimi, przy tamtych ogniskach?

Odpowiedź zaskoczyła nas:

— Bo my tu jesteśmy tajnie. — My tu właściwie nie należymy...

Było to nie do wiary. Jak mogli się tu przedostać? Przecież Rowiszte należało w tych dniach do najlepszych oddziałów pionierskich uczestniczących w operacji „Sygnał X-5". Wnet jednak nastąpiły dalsze wyjaśnienia:

— Należymy do najlepszych, jesteśmy z Litomyśla. Najpierw powiedziano nam, że tu będziemy, potem jednak ktoś z powiatowego sztabu zadecydował, że z każdego oddziału pojadą tylko dwaj najlepsi. Nie mogliśmy pogodzić się z tą decyzją. Walczyliśmy przecież wspólnie, jesteśmy jedna zgrana paczka, a nie grochem czy soczewica, aby z nas wybierano tylko dwóch. Zagrożono nam wówczas, że nikt z naszego oddziału nie pojedzie na Rowiszte. Postanowiliśmy więc pojechać na własną rękę. No i jesteśmy. Mamy śpiwory, namiot i jedzenie. Należymy do tego obozu. Wszyscy!

Wobec tak logicznego postawienia sprawy, dowództwo obozu przyznało im rację, uznając ich prawo i godząc się z ich „buntem".

Postawa członków oddziału „Kulawy Orfeusz" stała się symbolem koleżeństwa i właściwej postawy kolektywu. Nie pozwolili wśród siebie wybierać jak w grochu. I zwyciężyli!

Kilka metrów ode mnie odezwały się długimi seriami karabiny maszynowe. Tuż obok rozwinęli tyralierę i rzucili się na ziemię pionierzy oddziału „Orzeł". Gra bojowa „Partyzanckimi Ścieżkami" przypominała hukiem karabinów maszynowych (obsługiwanych oczywiście przez żołnierzy) prawdziwą bitwę partyzancką przeciw hitlerowcom, z różnymi elementami zadań bojowych. Nie były one łatwe.

Oddziały pionierskie wyruszyły z obozu już o 4 nad ranem. Siąpił drobny deszcz. Chłopcy okryci brezentami maszerowali, czołgali się, uciekali i błądzili na wielkiej przestrzeni zalesionych gór. Szli jedynie według mapy, busoli i z grubsza podanego kierunku. Był to bardzo ciężki egzamin i praktyczne poznanie trudów, jakie ponosili partyzanci czasu ubiegłej wojny.

Niektórym zastępom nie udało się spełnić wszystkich zadań, niektórzy szperacze nie znaleźli tajnych kryjówek, nie wszystkim oddziałom udało się zlikwidować pozycje „wroga". Po dziesięciogodzinnej walce wróciły do obozu zmęczone i zupełnie przemoknięte. Wszyscy dzielnie walczyli, najlepszymi jednak okazali się pionierzy z województwa środkowo-słowackiego. Oni to właśnie, zdobyli pierwsze miejsce i zasłużoną sławę.

Inaczej też chyba nie mogło być. Ci właśnie pionierzy pochodzą z terenów, na których podczas wojny trwały zacięte walki partyzanckie z faszystami. Niejeden z ich ojców i dziadków przemierzał partyzanckie ścieżki Słowacji, sypiał w szałasach na zboczach gór, urządzał zasadzki i wysadzał pociągi wroga. A więc tradycji stało się zadość.

Wrażenia, jakie odnieśli pionierzy z tej pasjonującej gry bojowej, najlepiej chyba odzwierciedla list pisany do sztabu przez przedstawicieli „Kulawego Orfeusza" zastępu im. Kapitana Jarosza i „Prukopników" z Mistku-Riwiery:

„Była to świetna gra, która pomogła zrozumieć nam to wszystko, co kiedyś przeżywali nasi rodzice. Poznaliśmy wielu ciekawych ludzi byłych partyzantów, pracowników podziemia i walk wyzwoleńczych. Staliśmy się chyba przez to madrzejsi i dojrzalsi. Żałujemy, że już się skończyła operacja „Sygnał X-5" i z niecierpliwością czekać będziemy na „Sygnał X-6".

P.S. W relacji z podróży po Czechosłowacji opowiemy wam jeszcze nieraz o małych łącznikach oddziałów partyzanckich w latach 1943—1945, o chłopcach, którzy dzielili bojowe trudy wraz z dorosłymi, o udziale Polaków w słowackiej partyzantce.

W namiotowym miasteczku nad Wełtawą zamieszkało ponad tysiąc pionierów — przedstawicieli najlepszych drużyn ze wszystkich województw Republiki.

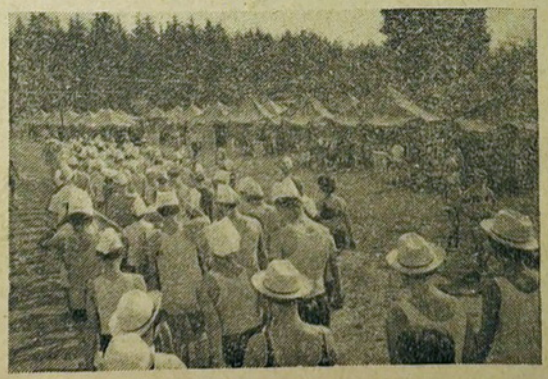

— Pokaż język, powiem co ci jest. — Pan doktór wnet znajdzie radę na porażenie słoneczne, ból głowy czy podwyższoną temperaturę. Do akcji wszyscy muszą wyruszyć w pełni zdrowia i sił.